

KRYSTIAN ODKRĘCA

Gul, gul...

Rok dwa tysiące któryś tam z rzędu. Nadal żyję. Tacy jak ja, co nie szanują swojego ciała, zamęczając je nadmiarem miłości, seksu i używek stałych oraz ciekłych, już, już schodzą z tego padołu, by nagle powstać, wyprostować się dumnie i iść przed siebie, przynajmniej przez chwilę. I w pełni okazałej witalności, szokującej wszystkich niedowiarków wieszczących mi upadek, grzebać swoich znajomych jeden po drugim, drugi po trzecim – żyć z jeszcze większą intensywnością. Brzmi patetycznie, ale taki to mój patent na przeżycie. Cóż, ma się te geny po pradziadku Zdzisławie, co z Piłsudskim w PPS-ie działał, do carskiej bezpieki jak do garnków na płocie strzelał, a potem, zaprawiony w likwidowaniu szkodników panoszących się na rubieżach odradzającej się Rzeczypospolitej Polskiej II, falangi bolszewików na przedmieściach Warszawy w sierpniu tysiąc dziewięćset dwudziestego roku ubijał jak gnidy we włosach. Ja, potomek siepacza i żarliwego, że aż parzącego patrioty, nie miałem wyjścia – w ramach historycznego odreagowania, dla równowagi dziejowej, musiałem zostać pacyfistą i cynicznym kosmopolitą, euroazjoafrykoamerykokratą. W szczególności jeśli chodzi o zaliczanie nowinek rasowych. Drzę na myśl, że pewnego dnia zaczajony w kącie mieszkania duch Zdzisława

porwie się na mnie z eterycznym sztyletem i sprawi mi taki *gore*, że wszystkie części *Piły* przy tym to plastik, sierść, aksamit. Dopuszczam istnienie aniołów, wiara w duchy mnie przerasta. Jednakże działam, pradziadzie. Zaprawdę. Tu, w tym hotelu. Tocząc intelektualno-emocjonalny pojedynek, pracuję, podrywam, hipnotyzuję i zakochuję się z każdą minutą coraz mocniej. Mam w kim.

Oto ona: gwiazda serialu w telewizji komercyjnej albo publicznej, co i tak nie ma znaczenia dla paparazzich (dla nich celebryci są jak jabłka w sadzie, wszystkie takie same, podobnym smaku sławy i przenicowane robakami na sumieniu, ogryźć takich, wyrzucić, następnego w kolejce efemerycznej sławy), kobieta z ekspozycji najbardziej ponętnych łań, rzekłby przekornie poeta z *nieszufflada.pl: o miedzianym poszyciu włosów na swojej zmyślnej dialektycznej główce*.

Ta pięknotka patrzy na mnie w osłupieniu, patrzy na mnie łakomą ciekawością; od naszego „dzień dobry” przy kawiarnianym stoliku minęły zaledwie trzy minuty, a to istny rekord, w którym odkryto mój psikus. Przytulne hotelowe patio sprzyja przytulnej konwersacji.

– Ile można pić, na Boga? I jeszcze się z tym obnosić jak drogą biżuterią i chihuahua w torebce.

– Podobno jedną z najciekawszych form samobójstwa jest konsekwentne, wieloletnie popijanie, które odda najlepiej zdanie: Czysta przyjemność – powiedziałem nonszalancko, nie odpowiadając jednak na pytanie.

– Co pan mówi! Jeszcze popełni pan o tym reportaż i później znajomi będą pana krytykować za promowanie tak kontrowersyjnego przesłania – upomniała mnie mentorko. Och, opieprzaj mnie, śliczna, opieprzaj, im więcej cierpkich słów, tym mocniejszy później pocałunek. I nie tylko.

Jedynie zagrożenie dla mnie to twój urok osobisty. Atakuj nim, osaczaj, chętnie ogłoszę kapitulację.

– Nie przesłanie, to fakt... – Wiem, że wygaduję głupstwa. Chętnie naprodukuje ich więcej, byle dłużej z nią tu przebywać. Byle dłużej. Zatrzymać bieg wskazówek, omamić je symulowanym tykaniem ust, obiecać bachanalia cyberblatowe, byle czas się zatrzymał, byle się nie zrywała, przy mnie została, byle!

Przechlapane tak pragnąć. Nic na to nie poradzę, że widząc piękną, a do tego przychylną mi kobietę, zamierzam ją odkręcić, wypić ją jak butelkę wódki, wina, czegokolwiek. Bez nalewania do kieliszka, z gwintu. Kaja, cud-aktorka, postawiłbym kilka setek jednej z tych ciem barowych, które spotykam na co dzień, ja, upadły, kurwa, motyl, żeby, nim utonie w sedesie we własnych wymiocinach, przepowiedziała mi w amoku deliryczno-wizjonerskim: „Będiesz, stary, badał głębokość jej pępka. Ja ci to mówię, druh wody, co wyparła w moich żyłach krwinki, zajęła ich miejsce i płynie wartko przez cały organizm, od stóp do głowy, przyjemnie ją odurzając”.

Kaja zacisnęła usta. Usta? Usta to mają zwykli ludzie, którzy jeśli znudzi się im kiedyś gadanie, mogą wystawić je na aukcji internetowej i sprzedać za niewielką sumę jakiemuś niemowie od urodzenia. Usta Kai to przykład zwycięstwa natury nad trikami chirurgii plastycznej. Wąskouste szansonistki mogą jedynie zakwilić, że bogowie poskąpili im od urodzenia tego, czego nie szcędzili aktorce. Przepysznie pełne, nabrzmiące od zmysłowości podkreślonej teraz srebrzystym błyszczkiem. Jednak zacisnęła je, tworząc złowrogie serducho. Nie ma nic ponętniejszego od naburmuszonych ust. Siedząca obok nas

agentka topowej aktorki poraziła mnie prądem ze swoich nastroszonych brwi.

– Myśli pan? – Kaja połknęła śmiech, czerwieniąc się na twarzy. Język zapodział się jej gdzieś w smakowitej buzi, mimo prób nie potrafi go znaleźć; czyżby schował się za złotą koroną zęba, czy aby siekacze nie wyżyły się na nim za głupie kwestie na planie czołowego w rankingach oglądalności sitcomu, w którym gwiazda zarabia na swoje paryskie kiecki, madryckie apaszki, florenckie stringi z przeuroczymi kokardkami?

Następna w kolejności kaskada dialogu bez ikry:

– Cieszę się, że mogę panią widzieć. Tak z bliska widzieć, na wyciągnięcie ręki. I ust.

– Ust? Brzmi dwuznacznie. I uroczo.

– Jak to uroczo? Nie jesteśmy w przedszkolu...

– Lubię wynajdować sobie słówka, których później nadużywam. Ciekawe, co?

– Ja nadużywam tylko przekleństw – zaśmiałem się cicho.

– Cóż, subtelność nie jest mocną stroną facetów.

– Lepsze to niż ciepłe kluchy.

– Ja wolę zimne – odpowiedziała śmiechem aktorka.

– A przede wszystkim twarde.

Cóż. Kocham takie kobiety. Mówią to, czego pragnę. Chcą dać się okręcić. Fakt, ludzie wieszają się na drążkach do podciągania się i wyrabiania mięśni. Wpadają na gapę pod rozpędzone pociągi. Wygrywają żyłką amatorskie koncerty na swoich żyłach. Pomnażają zyski aptek dziesiątkami połkniętych tabletek. Zniechęceni, zamroczeni, zmęczeni. Mimo to życie może być przyjemne, byle rozumieli to ci inni. Ci inni, którzy z zasady wolą się nie

zgodzić z naszym punktem widzenia. Wcale jednak nie jest mi z tego powodu smutno. I nie zamierzam odkryć przyjemności w lataniu bez lotni z któregoś tam piętra. Kiedy o tym myślę, ogarnia mnie melancholia. Pozostaje sięgnąć po lek, po taką Kaję. Nagle robi mi się smutno – z paru innych, niekoniecznie interesujących, powodów. Nie sposób ich określić ot tak, na poczekaniu.

Usiłuję, trochę zbyt mechanicznie i wyrachowanie wyrzucić wrażenie na aktorce. Niech poczuje moje stonowanie, moje wymazywanie się, wtedy poczuje, że zależy mi na niej. Udana w każdej części. Przy takiej mało komu przychodzi do głowy pomysł nurkowania bez butli i rurki.

– Twarde smakują wybornie – powiedziałem. Też mi dwuznaczność, nie dostanę za to nagrody za dowcip roku.

– Potwierdzam.

– No to się cieszę. Znam parę przepisów, mogę je przedstawić – poszedłem na zuchwałego.

Bo kocham siebie w tym, bardzo. Uodporniłem się na gwiazdy oraz częściowo wykorzeniłem zazdrość o ich dochody. Nie uodporniłem się na gwiazdy, które mi się podobają. Mój język również się płacze, roznegliżowany przez tych parę niewinnych setek-dla-poprawy-nastroju.

– Właściwie to przyszedłem z poręczenia.

– Z rekomendacji – poprawia mnie aktorka. Jej nosk próbuje wychwycić moje feromony, o ile istnieją. Istnieją! Wpadają gromadą do jej nozdrzy, wywracając sprzęty przyzwoitki, zawodowej pozorantki, królowny od siedmiu boleści. Kiedyś założę Kościół Świętego Feromonu, wiernymi będą mogły zostać wyłącznie interesujące kobiety.

- Ale zabiegałem, bo warto.
- Tak? A to czemu?
- Ma pani w sobie tyle czaru...
- Magii może? – mruży oczy.
- I tego, i tego? – pytam.
- A czym się różnią?
- W magię wierzą narzeczone i żony, w czary – wdowy.
- Przypomina mi pan kogoś.
- Też ma to coś?
- Jakie coś?
- To coś.
- Ale co?

– No właśnie, co? – wyciągam asa z rękawa, lecz zamiast na stoliku, ląduje w dołku obciachu. Nic nie osiągnę takim tonem. Celebrytki to współczesne arystokratki, tonem plebejusza trafisz w dziurę w płocie, nie w ich serca. Gwiazda zawraca oczami w lewo, skręca w prawo, kierowana nerwicą, której nabawiła się w wyciszonych kawiarniach pięciogwiazdkowych hoteli, gdzie podają kawę mocną, jakby wyciosaną z kopyt szatana. Łatwo ją zirytować. Nigdy nie będzie dobrą żoną. Jej ścięta na buraczkowego pazia przyjaciółka i agentka w jednej bystrej osobie, big mother wszystko widząca, która miała przysłuchiwać się czujnie wywiadowi, dopija cappuccino, mówi jędzowatym tonem przed siebie, niby w moją stronę, że kim ja jestem, że tak sobie pozwalam, co ja dobrego zrobiłem, przychodząc tu „w takim stanie”.

– To nic nadzwyczajnego – kwituję. – Stać mnie na więcej, jak się uprę. – Puszczam wyzywająco oko do aktorki, odbija je niespodziewanie z sympatią w tych pochłaniających mnie ustach. – Wiedzą panie, jak to jest. Są ludzie, którzy

rodzą się z czarnymi myślami. Oglądają program kabaretowy, lecz czarne myśli przesłaniają im ekran telewizora. Słuchają najnowszego przeboju tanecznego na nadchodzące lato, lecz czarne myśli przestawiają nuty na „smutno, coraz smutniej”. Nawet w łóżku czarne myśli potrafią obrócić wniwecz wiekowy dorobek Kamasutry.

Agentka widzi we mnie wroga, osobistego i przeznaczonego do rozdeptania. Czy nie podoba się jej moja fryzura? Tembr głosu? Szerokie džinsy, które upodobniają mnie do chłopaka z deską snowboardową? Widzi we mnie starego wyjadacza, pudelkowego posłańca, który po wywiadzie pobiegnie do swojej redakcji, odpali komputer i sieknie taką kalumnię o gwieździe sitcomu, że biedactwo nie pozbiera się przez wiele miesięcy. Agentka jest ochroniarzem, jej laserem bezkompromisowe oczy, pałką niewyparzony język. Podjudzona nieświadomie przeze mnie, odszczekuje głośno:

– A kim pan jest, by tu przychodzić w takim stanie?! Co pan sobie wyobraża?! W jakim stanie? W takim stanie. I chlast mnie lewą źrenicą, chlast prawą.

– Jestem profesjonalistą – bronię się dzielnie. Nadaremnie. Dla niej pozostaję kulawym gladiatorem. Co może, a nie da rady. Palec w dół, moje flaki posłużą za karmę dla dzikich zwierząt. Najchętniej to wyrwałaby mi wnętrzności i oddała do garbarni. Jej karząca ręka trzyma niewidzialną packę na muchy. Wywija nią ze zwinnością kawalerzysty w bitwie pod Somosierrą. Przedstawiłbym jej parę zasadniczych kwestii o swoim położeniu. Pewnie nie zrobiłyby na niej wrażenia, choć szczerze mówiąc, nawet najgorsze babsztyle z wrodzonym niedoborem estrogenu potrafią wykrzesać z siebie parę letnich iskier współczucia. Bo jestem

w takim stanie złośliwości niegodnej mojego zawodu, mojego niby-szczęśliwego położenia w wielkim mieście, w którym mieszka prezydent, premier, marszałek sejmu, mieście, w którym wszystko dąży do naj, poza jednym wyjątkiem – mną. Przerzucam desant moich złych intencji w okolice zamieszonych spodni agentki, dokładnie na roz-porek zapinany metalowymi guzikami; ona wytacza działa obronne, zarzuca nogę na nogę, nogawki przypominają bele materiału. Trzeba bowiem podkreślić wszem i wobec, że obfity to sort kobiety z tej zadziornej agentki, dobrze odżywiony, przemieszczający się po mieście wyłącznie samochodem; nasrożony z niej milf, choć wcale nie wygląda na mamuszkę. Czasem zachodzi do siłowni, by popatrzeć sobie na sprzęty. Popatrzeć. Czasem wskakuje do basenu, by wyjść po sekundzie i ponarzekać na zimną wodę. Gdyby było inaczej, wyglądałaby inaczej. Cukrzyca, złe geny, znam te śpiewki żarłoków, pasiburzuchów, sam dziesięć lat temu ważyłem o dwadzieścia kilo więcej. Trudno, moja optyczna groźba rozbija się o kant jej wielkiego siedzenia, pryham na rękaw agentki wódczanymi kropelkami śliny i mówię najnamienitsze zdanie, jakie przyszło mi dziś do głowy:

– Wy jesteście w nie gorszym, ani nie w lepszym...
Bynajmniej w takim samym jak mój.

– Pan pracuje. My nie – odpowiada agentka i szuka u swojej gwiazdy potwierdzenia tego argumentu. Przeczy temu fakt olfaktologiczny: pachną pinacoladą, litrem pinacolady z mocną dominantą rumu.

– Kto nie pił, niech rzuci we mnie pustym kieliszkiem – proponuję. Gwiazda się śmieje. – W sumie lubię pinacoladę – kontynuuję moje słowne zaloty. – I mówiąc językiem folderów reklamowych, już dwa stanowcze łyki

potrafią nas przenieść na karaibską plażę, gdzie tańczący Murzyni z rastafariańskimi fryzami mówią: „Spoko, man. Wyluzuj, człowieku man. All is good”.

Gwiazda, która na początku wyglądała na przygaszoną, odświeża swój blask, wzmaga go swoim celebryckim urokiem osobistym.

– Podoba mi się, co pan mówi. – Wyjmuje z torebki cygaretkę. – Orientalny smak, nalegam, by się pan poczęstował.

– Chętnie. Pinacolada bez aromatycznego cygara nie ma aureoli.

Jak dobrze siedzieć przy stoliku w hotelu, udzielać niby to wywiadu, niby bełkotu, i błogosławić szczodry gest błękitnej planety, na której ramówki programowe wszystkich telewizji odczuwają wieczny głód seriali. Zaciągam się niezręcznie. Kaszlę, aktorka chichocze. Zwracam się do agentki:

– Ja się bawię, szanowna pani. Tak jak pani.

Agentka wyczuwa, że jej pracodawczyni, gwiazda topowego sitcomu, nie tylko udzieli mi wywiadu, ale też zapała sympatią. Że zapałała.

A tak się złożyło przez splot okoliczności w tym całym pozorowanym biznesie, że musiałem przycłapać do gwiazdy serialu, w przeciwnym razie groziła mi wizyta komornika za niezapłacony czynsz za dwa miesiące, może trzy, może cztery. Jak zwykle, jak zwykle, wciąż z taką samą solidną rutyną abnegacji, męczącą, schematyczną. Zaliczyłem parę takich wizyt, wreszcie powiedziałem do milczącej gromady dwustu pięćdziesięciu siedmiu butelek po wódce (jest ich prawdopodobnie więcej, wolę nie liczyć) rozwalonych bezwstydnie w kącie pokoju:

– Dosyć, puste panienki. Nie dam się. Nie polegnę. Wiem, że wykańczam się na raty. Ale czy muszę dogorywać? W tym kraju nie jest tak źle. Kiedyś w końcu wybudują autostrady i podniosą ludziom pensje według europejskich standardów. Nie wierzycie mi? Jak trzeba, potrafię zadziałać. Udowadniałem niejednokrotnie nie takim wypierdkom, że nawet gdy leżę, jeszcze nie pora na spożywanie ziemi. Przynajmniej gdy się leży, można odpocząć, zapomnieć o niemiłych sprawach. Jeden banalny wywiad wystarczy na czynsz, da palec i rękę spółdzielni mieszkaniowej, by odpuściła mi do jesieni, kiedy odkuję się recenzjami filmów, sztuk, wystaw, happeningów. Zapiszę się na śmierć, rozwalę klawiaturę, byle grzały mi kaloryfery, ze splotczki leciała woda i było czym podtrzeć tyłek. Że padło na Kaję, to zasługa Zielonego Kwiatuszka. Bez dojść nie ma wejść.

– To zaczynamy, czekam na pierwsze pytanie.

– Wierzę, że zamienię panią w kran, z którego wypłynie strumień słów.

– Piękna metafora.

– Całkiem zwyczajna, nieszczególna. Nie tacy potrafią. I sto razy lepsze – oświadczyłem franciszkańsko.

– Proszę się nie deprecjonować. Dobrze pan to ujął. Mnie się podoba. A jak mnie się podoba, to chyba dobrze?

Udałem, że nie słyszę. Opanować: erekcję, oddech, chęć wylizania jej stóp. – Skoro mam cieszyć się pani obecnością, chętnie dam sobie szóstkę za wymowę. Ale ze mnie lizus. Na szczęście aktorka nie jest taka głupia. Obawiam się, że jest o wiele za mądra, niż mi

się wydaje. Obawiam się, że przerasta niejedną i niejednego. Żeby tylko nie mnie. Wydrwi, zmiażdży, skopie w czułe miejsca. Stać ją na to, nie tylko w przenośni. Każdy skandal i skandalik oznaczają kolejne zera na koncie gwiazdy.

– Ja głosuję za najlepszą oceną dla pana! Pokątny stroiciel opinii. Cały ja. Dziękuję ci, matko naturo, że chociaż dostał mi się tak konkretny ochłap.

Przed wakacjami, przed sezonem, gdy każdy pyta: „Gdzie jedziesz?“, z wiosennej górki dobrego humoru spada się twardo na dupę. I co wtedy, jeśli nie złowisz tłustego kąska, ledwo wystarczy na piwo, nie zostanie na łyk świeżego powietrza, bo nic tak nie śmierdzi jak świeże powietrze, gdy nie masz pieniędzy.

– Dobrze, pani Kaju – zaczynam. – Jeśli tak, usłyszysz pani zaraz moje pierwsze pytanie... Czas pokazać rewii, że ostatnio to pani jest na topie.

I zapraszam ją po dżentelmeńsku na kilka zwierzeń o tym, z czego na co dzień żyją serwisy rozrywkowo-plotkarskie.

Ona także zaprasza na kilka zwierzeń. Zaskakując mnie bezpośredniością. Gwiazda, wolno jej więcej niż przeciętnym podatnikom. Do wynajętego w hotelu pokoju! Bajka to? Ku mojemu zaskoczeniu, agentka big mother musi zostać w hotelowym patio, na sofie, przy koktajlach, colach i wodzie mineralnej. Kobieta kobietę jak psa, jak sukę warowną potraktowała. W głuszki ust mi złorzeczy, nie wątpię. A jeśli to gra? A jeśli stanie przed dziurką bez wetkniętego w nią klucza, będzie obserwować akcję, w której jej pracodawczyni użyje swoich aktorskich zdolności, ona zaś palec skieruje w swoje rejony

potencjalnie mokre? A jeśli zainstalowała tam kamerę, nagra i puści w obieg, Kaja stanie się jeszcze sławniejsza, ja, cóż, wyjdę na śliskiego naiwniaczka. Kaja wyjaśnia:

– Nie znoszę gwaru, przypadkowych spojrzeń. Na osobności mogę być sobą, nie grać, odpowiadać szczerze. Spontanicznie, choć w skupieniu.

– Święta prawda – przytakuję. Wziąłem dziś prysznic. Nie boję się nikogo i niczego.

– To chodźmy.

Jestem szczerze zdumiony. Filip z konopi wszedł we mnie na sekundę. Dwa uśmiechy i zniknął. Wchodzimy do pokoju. Momentalnie zlustrowałem półki i szafki, nigdzie kamery. Chyba że wmontowana w ścianę. Trudno. Kaja jest zbyt pociągająca, by się wycofać. Musieliby mnie wyrugować z tego pomieszczenia traktorem, z hakiem wbitym w szyję.

– Lubię siedzieć na czymś miękkim – Kaja skierowała się w kierunku łóżka. – Lepiej mi wtedy odpowiadać.

– Pewnie – znów przytakuję. – A mnie lepiej przeprowadzać wywiad.

– Dyktafon proszę położyć na komodzie. Nie będzie nam potrzebny. Wierzę, że ma pan doskonałą pamięć, moje wypowiedzi nie będą długie.

– Nie będzie. – Nawet nie zamierzałem nagrywać. – Czy ja się rumienię?

Nie, nabrzmiewam.

Nie, rumienię.

I nabrzmiewam. Policzki pulsują, głupio muszę wyglądać. Nie muszę, wyglądam. Co jest, skąd we mnie tyle braku wiary w siebie? Też ją przepiłem?

– Naprawdę nie zamierzałem.